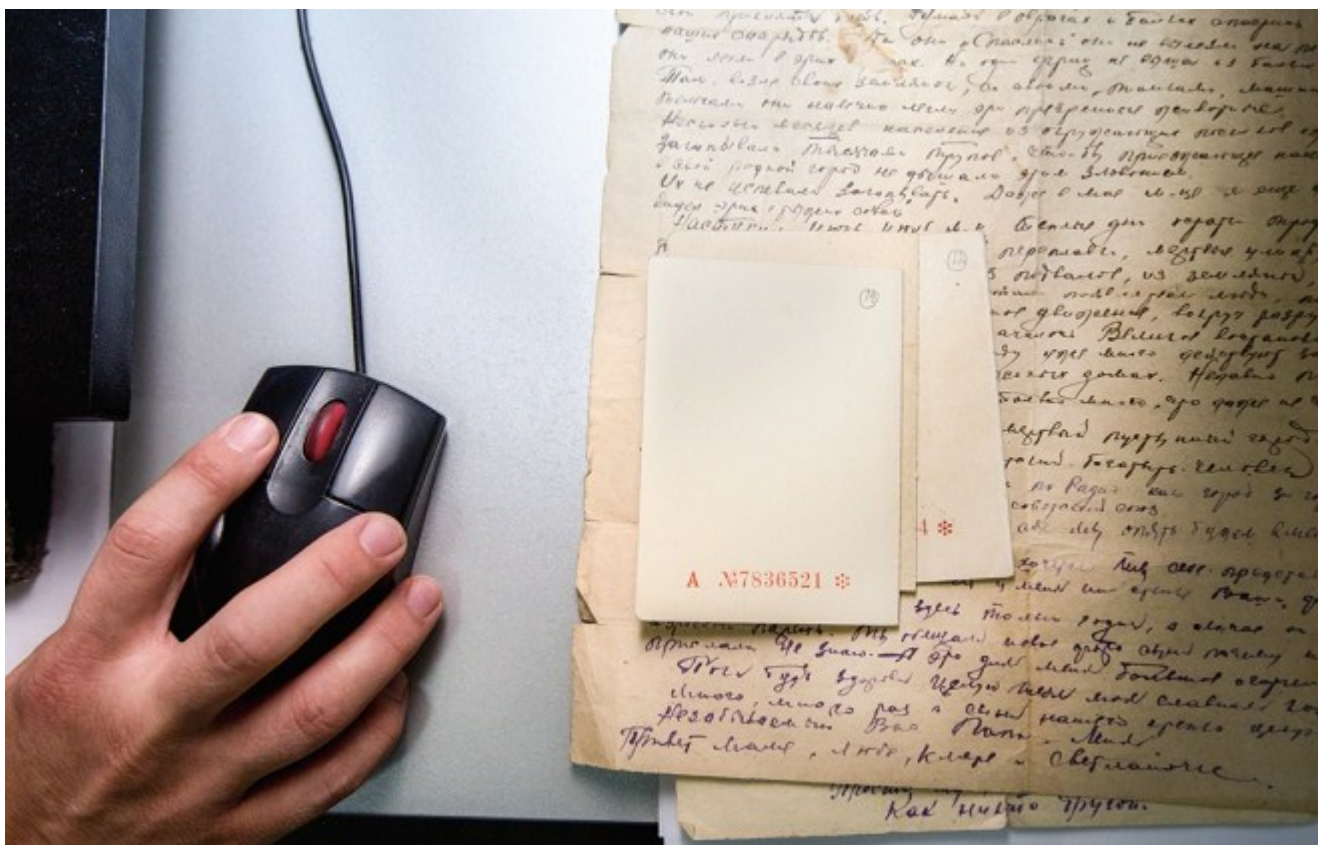


# CISI SPRAWIEDLIWI



KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET | 07.05.2018 | CZYTA SIĘ 12 MINUT

*Lista Sprawiedliwych wśród Narodów Świata liczy niemal 27 tys. nazwisk, w tym prawie 7 tys. polskich. Nie jest zamknięta. Problem w tym, że instytutowi Yad Vashem brakuje ludzi i środków, aby ich szukać.*



Analiza dokumentów osób ocalałych z Holocaustu w laboratorium cyfrowym instytutu Yad Vashem, Jerozolima, 2014 r. SEBASTIAN SCHEINER / AP / EAST NEWS



zasem o wszystkim decyduje przypadek: kilka zdań z książki, luka w drzewie genealogicznym, plik znalezionych listów. Ktoś połączy fakty z życia dziadków. Ktoś inny zorientuje się, że historia opisana w czyjejs archiwalnej relacji zasługuje na medal. Sprawdzi na stronie instytutu Yad Vashem –

i zdziwi się, że nazwiska tam jeszcze nie ma. Napisze do Departamentu Sprawiedliwych w instytucie lub w ambasadzie Izraela.

Jeśli nie napisze – wtedy być może historia nigdy nie ujrzy światła dziennego. Bo instytut Yad Vashem do tej pory bada głównie zewnętrzne zgłoszenia, i to przede wszystkim od samych ocalonych lub ich rodzin.

– Mamy dużo pracy. Prawdę mówiąc, trudno nam nadążyć za zgłoszeniami. Napływają codziennie z całego świata – tłumaczy Irena Steinfeldt, dyrektor Departamentu Sprawiedliwych w Yad Vashem.

Jej samej udało się odnaleźć kilku przyszłych Sprawiedliwych w sytuacjach, gdy na początku był zupełny przypadek.

### **„Człowiek postępowy”**

Z protokołu zeznania, które w sierpniu 1948 r. w krakowskim oddziale Żydowskiego Instytutu Historycznego złożył Dawid Fromowicz (pisownia oryginalna): „26 listopada 1942 roku opuściłem ghetto w Tarnowie i udałem się wraz z żoną w grupie liczącej 14-cie osób do lasu pod Biadolinami [Radłowskimi], pow. Brzesko k. Tarnowa. Byliśmy uzbrojeni w dwa karabiny ręczne i kilka rewolwerów, broń zakupioną u Antoniego Stolarza, zam. w Biadolinach Radłowskich. Po zastrzeleniu przez nas Niemca, leśniczego, 10 osób z grupy naszej bojąc się obławy wróciło do ghetta, a ja wraz z trzema braćmi i żoną udałem się do Jana Stolarza zam. w Biadolinach Radłowskich, który nas u siebie ukrył w piwnicy. Jana Stolarza znaliśmy z przed wojny, mieszkając z nim w jednej wsi. Był to człowiek stary, podówczas ponad 60-dziesiątkę liczący, przekonany bardzo postępowych”.

Na czym polegała „postępowość” Jana Stolarza, Fromowicz wyjaśnia tak: „W roku 1938 na skutek agitacji endeckiej spotkali się Żydzi zamieszkali w Biadolinach Radłowskich z bojkotem gospodarczym. Kilka rodzin żydowskich posiadało gospodarstwo wiejskie i w czasie żniw na skutek bojkotu, nie mogli Żydzi dostać ludzi do pomocy. Wtedy Stolarz Jan samorzutnie zgłosił się do mojej matki Estery Fromowicz, która też miała gospodarstwo wiejskie, ok. 4-ro morgowe i zaproponował swoją pracę. Nie chciał przyjąć zapłaty”.

Końcówka 1942 r. i połowa roku 1943 upływa Fromowiczowi na serii uciezek i powrotów do tarnowskiego getta. Gdy 2 września 1943 r. Niemcy zarządzają jego likwidację, Dawid

z żoną się ukrywają. Akcja likwidacyjna kończy się 7 września. Dawid zabiera żonę, trzech braci, „jednego chłopca z Łodzi” i „jeszcze jedną kobietę z 7-letnią dziewczynką” – i ucieka do Biadolin Radłowskich.

Wszystkich ośmioro przyjmuje znów Jan Stolarz. Od 8 września 1943 r. do końca okupacji grupa chroni się w Biadoliniach, „częściowo w lesie, a częściowo – gdy w lesie nie czuliśmy się bezpiecznie – u Jana Stolarza”. Fromowicz: „Stolarz używał nam zawsze schronienia, dostarczał nam wszystkim żywności i stale się z nami kontaktował gdyśmy przebywali w lesie. Stolarz ostrzegał nas zawsze przed obławami i innymi niebezpieczeństwami i donosił żywność do lasu. Byliśmy wtedy bez pieniędzy. Stolarz pomagał nam zupełnie bezinteresownie, nie brał w ogóle pieniędzy za żywność. Mimo zakazu wjeżdżania do lasu wydanego przez Niemców, przywiózł nam sam swoim koniem 20 metrów ziemniaków na zimę”.

### **„Póki on żyje, my żyć będziemy”**

Jan Stolarz pomaga też innym Żydom. Ukrywa się u niego adwokat z Wojnicza, dr Cries. Ktoś to odkrywa i donosi na Polaka. W marcu 1944 r. nadjeżdża policja niemiecka, wyciąga adwokata z kryjówki, a z mieszkania Antoniego Stolarza, syna Jana. Obu, Żyda i Polaka, mordują zaraz przed domem.

Fromowicza i jego grupę ratuje tylko to, że nie ma ich w tym czasie u Stolarzów. Z zeznania: „Słyszałem wówczas t.j. w czasie okupacji, że Stolarz pomaga wielu ukrywającym się Polakom. Stolarz okazywał wielką odwagę i poświęcenie w udzielaniu nam pomocy. Nawet utrata syna, który zginął z powodu ukrywania Żyda, nie wpłynęła na jego postępowanie. Twierdził, że póki on żyje, to i my żyć będziemy. Wierzył w przetrwanie wojny i nadejście Czerwonej Armii i narażał się w dalszym ciągu”.

Wejście armii sowieckiej w styczniu 1945 r. zastało Fromowicza w lesie. Końca wojny nie doczekali jego bracia: Samuel i Leon. „Poświęceniu Jana Stolarza zawdzięczają swe życie prócz mnie: Fromowicz Roman, Fromowicz Chaja, Fromowicz Regina, Fromowicz Bronisława, Heber Mojżesz” – relacjonował.

W swoim zeznaniu Fromowicz dodaje jeszcze, że Jan Stolarz po wojnie trafił do tarnowskiego więzienia, miał być „oskarżony o współpracę z Niemcami”, co – jak zauważa Fromowicz – jest „ironią losu”.

Relację Fromowicza przytacza prof. Barbara Engelking w książce „Jest taki piękny słoneczny dzień... Losy Żydów szukających ratunku na wsi polskiej 1942–1945”. Gdy w 2016 r. książka ukazuje się w angielskim tłumaczeniu, trafia do rąk Ireny Steinfeldt. Historia Fromowicza zwraca jej uwagę. Dyrektorka działu Sprawiedliwych łapie się za głowę: okazuje się, że Jana Stolarza nie ma dotąd na liście Sprawiedliwych.

Steinfeldt dociera do oryginału protokołu zeznania Fromowicza z archiwum ŻIH-u w Warszawie – i od razu rozpoczyna postępowanie w Instytucie. Jan Stolarz zostaje nagrodzony tytułem Sprawiedliwego. Yad Vashem nie odnalazło jednak jego rodziny.

### **Niedofinansowany departament**

Jak to się stało, że Jan Stolarz z Biadolin Radłowskich czekał na uhonorowanie tak długo? Od pierwszego wydania publikacji prof. Engelking w języku polskim minęło przecież siedem lat.

Irena Steinfeldt: – Program Sprawiedliwych w naszym Instytucie bazuje na indywidualnych wnioskach. To znaczy, że przyjmujemy zgłoszenia najczęściej od samych ocalałych lub członków ich rodzin albo od osób, które ratowały Żydów i ich bliskich czy znajomych. Weryfikujemy te informacje, a jeśli spełniają wszystkie warunki – przygotowujemy kartotekę.

Potem, na podstawie dokumentów, decyzję o przyznaniu tytułu podejmuje specjalna komisja.

Ale jest i druga strona medalu: Yad Vashem z zasady nie inicjuje poszukiwań na własną rękę. Jeśli ocalały nie miał żadnego kontaktu z rodziną ratującego albo nie wiedział, kim byli ludzie, którzy mu pomagali, nie znał ich dzieci czy nie wiedział, jak zacząć samodzielne poszukiwania, wtedy nie miał co liczyć na to, że Yad Vashem tę historię odnajdzie sam. Departament musiałby mieć więcej środków i pracowników, aby móc inicjować poszukiwania.



W archiwum Yad Vashem, podczas przekazywania archiwalnych fotografii, 2011 r. / LEVINE / SIPA / EAST NEWS

### **„I mimo zagrożenia”**

Irena Steinfeldt przyznaje, że setki nadsyłanych każdego roku wniosków wymagają dokładnych badań, co szczelnie wypełnia grafik pracowników departamentu. Z tego, co mówi, wynika też, że Departament Sprawiedliwych jest niedofinansowany. Steinfeldt: – Ponieważ tych zgłoszeń jest wciąż tak wiele, nie doszliśmy jeszcze do etapu, w którym



zmienilibyśmy zasady działania i zaczęlibyśmy poszukiwania na własną rękę. Oczywiście prawdą jest – i to odnosi się do wielu aspektów działalności Instytutu – że jeśli masz więcej środków, możesz przeprowadzić więcej badań, więcej działań edukacyjnych, zebrać więcej dokumentacji itd.

Dodaje jednak, że nie jest prawdą, jakoby pracownicy byli bierni i nie podejmowali poszukiwań w przypadku nowych historii: – Choć program faktycznie bazuje głównie na zgłoszeniach, inicjujemy sprawy, gdy odnajdujemy świadectwa o ocaleniu. Np. pracownicy naszego archiwum są proszeni o zgłoszenia, gdy tylko napotkają na świadectwo o ocaleniu. Kontaktujemy się też z organizacjami ocalałych i prosimy je o współpracę i informowanie członków o naszej działalności, tak aby mogli zgłaszać swoje świadectwa, o ile dotąd tego nie zrobili.

W Yad Vashem wydarzyła się niedawno historia, której pozytywnego zakończenia nikt się nie spodziewał. Na biurko Ireny Steinfeldt trafił – za sprawą polskiego pracownika archiwum ks. Jakuba Wekslera-Waszkinela – plik listów, spisywanych tuż po wojnie aż do lat 60. w języku niemieckim.

Irena Steinfeldt: – Ich autor nazywał się Erich Gottschalk, pisał do Polaka o nazwisku Jan Kuś, zamieszkałego w miejscowości Zabrzeg w powiecie bielskim. Wspominał, że zachował go w pamięci, że jest mu wdzięczny za uratowanie, że chce się jakoś odwdziaczyć, przekazać pieniądze. Zorientowałam się jednak, że podane w liście informacje to za mało, by móc założyć Kusiom kartotekę. Byłam sceptyczna, nie sądziłam, że uda się na tej podstawie wszcząć postępowanie. Zaczęłam szukać w archiwum.

Okazało się, że Erich Gottschalk zmarł w Holandii w latach 90. Natomiast Irena Steinfeldt znalazła w archiwum Yad Vashem świadectwo, które dotyczyło innej osoby, ale wspominało o Gottschalku. Część danych się zgadzała. Skontaktowała się z osobą, która świadectwo (po hebrajsku: daf ed) spisała: mężczyzna okazał się dalekim krewnym Ericha. Jego historię znał mglście: okazało się, że zakładając po wojnie nową rodzinę w Holandii, Gottschalk nie mówił o swoich ciężkich przeżyciach.

Był niemieckim Żydem, uciekł do Holandii. Tam, już pod okupacją niemiecką, wraz z żoną Rosą i córeczką Rene został złapany i deportowany do Auschwitz. Żona z córką zginęły, jego popędzono w „marszu śmierci”. Po drodze stracił przytomność, upadł w śnieg. Gdy odzyskał świadomość, wkoło było pusto. Poszedł w stronę stodół, które zobaczył na

horyzoncie. Wszedł do jednej z nich. „Polak wziął mnie do siebie, i mimo zagrożenia” – pisał w liście. Tym Polakiem był Jan Kuś.

Irena Steinfeldt zaczęła procedurę, w listopadzie 2017 r. małżeństwo Kusiów otrzymało tytuł Sprawiedliwych.

## **Kilkaset tytułów rocznie**

Irena Steinfeldt: – Czasami odnajdujemy jakieś świadectwo sprzed 20 lat, widzimy historię, która zasługuje na uznanie, więc kontaktujemy się z tą osobą i – jeśli jeszcze żyje – pytamy: dlaczego wcześniej nie dałeś nam [Departamentowi Sprawiedliwych – red.] znać? Odpowiedzi są różne: myślałem, że moja mama już do was napisała, nie miałem czasu, nie pomyślałem. Albo: tak, rodzice ocalili, ale jest coś, o czym nie chcieli wspominać w swoim świadectwie, a co zmienia charakter tej historii.

Aby zacząć procedurę przyznania tytułu, departament – po otrzymaniu zgłoszenia – podejmuje poszukiwania śladów tej historii w różnych źródłach. Sprawą zajmuje się osoba znająca język, w którym zgromadzono dowody. Gdy zbierze się wystarczający materiał, jest kierowany do wspomnianej komisji, której członkami są przeważnie osoby ocalałe z Holokaustu, a przewodniczącym – emerytowany sędzia izraelskiego Sądu Najwyższego. Zebrane dowody jeszcze raz analizuje ten z członków komisji, który zna dany język. Następnie pisze raport i poddaje go pod obrady.

Dużym wyzwaniem jest rozpoznanie motywacji ratujących, sprawdzenie, czy wiedzieli, że ratują Żyda, albo co się działo, gdy ratowanym skończyły się pieniądze. Analiza musi wyważyć wszystkie aspekty danej historii – pamiętając, że mowa o okolicznościach wojny.

Komisja głosuje nad danym przypadkiem, przygotowuje protokół i dopiero po jego akceptacji decyzja staje się oficjalna. Rocznie komisja przyznaje 400-500 tytułów Sprawiedliwych. Zdarza się, że jeden przypadek dotyczy wielu osób ratujących, albo że jakaś osoba była chroniona nie przez jedną, lecz kilka rodzin, wówczas departament szuka informacji także na temat tych osób, których nazwiska były ocalałemu nieznane.

Na stronie internetowej Yad Vashem można znaleźć informacje, jak napisać zgłoszenie (również po polsku). Irena Steinfeldt zapewnia, że analizuje każdą, nawet najmniej rokuszącą wiadomość: – Dostaję np. maila: mój tata uratował Żyda. I nazwa wioski. Pytam: czy wiesz, jak miał na imię ten Żyd? Odpowiedź brzmi: Mosze. Trudno wytropić z tych

danych przebieg historii, prawda? Ale czasem się udaje. Sprawdzam najpierw, ilu Moszech mieszkało w tej wsi. Potem – czy mamy w archiwum jakiegokolwiek informacje ich dotyczące. Taką drogą docieramy czasem do przedziwnych historii. Tak więc nawet z enigmatycznego maila może się wyłonić historia Sprawiedliwego.

Bywa, że po długich poszukiwaniach kartoteka zostaje zamknięta. Następuje to wówczas, gdy motywacje i postępowanie ratujących nie okazały się bezinteresowne. Albo gdy po prostu jest za mało informacji, dowodów.

Irena Steinfeldt: – Rodziny czasem obrażają się, odbierają to tak, że jeśli ich bliski nie otrzymał medalu, to oznacza to, iż miałyby być „niesprawiedliwy”, że nie był dobrym człowiekiem. To temat delikatny. Nieuznanie kogoś za Sprawiedliwego naprawdę ludzi rani. Uznaliśmy więc, że procedura zamknięcia niepełnych kartotek pozwoli uniknąć nieporozumień.

## **Większość ludzi nie wie**

O ile przyznanie tytułu odbywa się „odgórnie” – i za życia, i po śmierci osób ratujących – o tyle ich rodziny nie zawsze są odnajdywane. Te, które udaje się odnaleźć i poinformować o przyznaniu tytułu, są zapraszane na wręczenie medalu w Izraelu lub w jego placówce dyplomatycznej.

Jednak w praktyce szukanie rodzin odbywa się niejako przy okazji, jeżeli podczas poszukiwań informacji dotyczących samej historii uda się zdobyć ich adres. Pozostali mogą nawet nie wiedzieć, że w ich rodzinie jest osoba uhonorowana tytułem – pomijając już fakt, że nikt nie organizuje im ceremonii. Ile jest takich przypadków? Nie wiadomo, Yad Vashem nie prowadzi statystyk. Wśród osób zajmujących się tematem mówi się jednak, że to większość uhonorowanych.

Czasem w poszukiwania włączają się rodziny ocalałych. Chcą znać swoich „przyszywanych krewnych”. W wielu przypadkach to dzięki ich zaangażowaniu i de facto prywatnym śledztwom udaje się odnaleźć ratujących.

Dlaczego szukanie rodzin ratujących nie jest dla Yad Vashem priorytetem? Irena Steinfeldt: – Nie zawsze mamy taką możliwość, by ich odnaleźć. Bazujemy głównie na relacjach ocalałych, a oni nie zawsze mają kontakt z tymi osobami. Przyczyny są różne, np. w czasie komunizmu Polacy bali się utrzymywać kontakty z Izraelem. Znamy też



przypadki osób, które nie chciały ceremonii z obawy przed tym, że o ratowaniu przez nich Żydów dowiedzą się sąsiedzi.

## **„Wzięliśmy go do siebie”**

Gidi Poraz jest – jak to się mówi – detektywem historycznym (albo: detektywem genealogicznym). Pracuje także z ocalałymi lub ich rodzinami.

– Szukanie rodzin jest czasochłonne i trudne – mówi Gidi Poraz. – Z łatwością odnajduję nazwiska Żydów, bo wiem, jak dotrzeć do baz danych. Ale z poszukiwaniem np. polskich rodzin jest znacznie trudniej. Dzwonię, piszę, jeżdżę do urzędów z małych miejscowości, przeszukuję archiwa, pytam na forach. Ale jest prawo o ochronie danych osobowych, nie mogę po prostu zbierać tych nazwisk, nie mając np. pozwolenia sądu.

Rodzin Polaków, którzy ratowali Żydów, Gidi szuka bardzo często. Zwykle na zlecenie dzieci lub wnuków ocalałych. Tak było z rodziną Tornów: skontaktowali się z Gidim, bo chcieli odnaleźć rodziców Waldka-Izraela.

Poraz: – On miał pięć lat, gdy wraz z rodzicami zamknięto go w warszawskim getcie. Matka wychodziła co chwilę poza getto po jedzenie. Miała polski wygląd, mogła przechodzić niezauważona. Pewnego razu po prostu zniknęła. Niedługo potem Niemcy zamordowali ojca. Waldek został sam.

Z oświadczenia Zofii i Stanisława Pszkitów, poświadczonego notarialnie w 1958 r. w Warszawie (pisownia oryginalna): „Waldemara Torna, ur. w 1935 r. znaleźliśmy we wrześniu 1943 r. (...), ukrytego w krzakach, po jego ucieczce z miejsca, w którym zabito jego rodziców. Wzięliśmy go do siebie i przechowywaliśmy przez cały czas okupacji. W okresie od Powstania w Warszawie t.j. od sierpnia 1944 r. do lutego 1945 r. był on razem z nami w obozie pracy na Bielanach koło Warszawy. W czasie, gdy ukrywaliśmy go u siebie, nie mogliśmy posyłać go do szkoły z powodu jego żydowskiego pochodzenia”.

Gidi: – Zofia powiedziała Waldkowi, że nie może ujawniać swojego prawdziwego imienia [Izrael – red.], jak i tego, że jest Żydem. Po latach przypomniał sobie, że w tamtym okresie spotkał na ulicy kobietę, która zadała mu dokładnie te dwa pytania. Odruchowo zaprzeczył. Potem przez całe życie myślał, że tą kobietą mogła być jego zaginiona mama. Nie mógł sobie darować, że nie powiedział jej prawdy.

Waldek miał przeczucie, że matka żyje. Gidi szukał jej długo. Dotarł do informacji, że ojciec mężczyzny był wcześniej żonaty i miał dwójkę dzieci. Przeżyły, w Izraelu założyły rodziny. Waldek nie zdążył się z nimi zobaczyć, mógł jednak spotkać się z ich wnukami. O matce nie dowiedział się niczego.



Zofia i Stanisław Pszkitowie / ARCHIWUM PRYWATNE RODZINY TORNÓW

## **„Jesteśmy przecież rodziną”**

Gidi: – Wówczas, w październiku 2016 r., poprosił mnie, abym złożył w Yad Vashem wniosek o przyznanie Zofii i Stanisławowi Pszkitom tytułu Sprawiedliwych. Bardzo szybko do tego doszło. Zaczęliśmy szukać ich rodziny. Trwało to ponad rok i było skomplikowane. Maile z informacją o Pszkitach rozsyłałem po całej Polsce. Wreszcie udało mi się ich odnaleźć.

– O tym, że pan Waldek żyje i szuka z nami kontaktu, dowiedzieliśmy się pod koniec ubiegłego roku. Byliśmy zaskoczeni, szczególnie że nie żyje już nikt ze starszego pokolenia, kogo moglibyśmy zapytać o szczegóły – pisze w mailu Magdalena Królik, wnuczka Bolesława, starszego brata Stanisława Pszkita. – Pamiętam Stanisława z czasów mojego dzieciństwa, gdy dziadkowie mieszkali w sąsiednim domu przy ul. Chmielnej. Nawet jeżeli dziadkowie wiedzieli, że Stanisław z żoną ukrywają Waldka, to na pewno nie powiedzieli o tym swoim córkom. Mama opowiadała, że Zofia płakała długo po wojnie, po tym, jak Waldek został zabrany z ich domu i zawieziony do Izraela. Kilka lat po wyjeździe z Polski utrzymywali korespondencję, ale później listy przestały przychodzić, czemu winna była komunistyczna cenzura.

Magdalena pisze, że jest jej przykro, iż Pszkitowie nie dożyli uznania ich zasług. Jest pewna, że najważniejsza byłaby dla nich informacja, że „ich” Waldek jest szczęśliwy, że założył w Izraelu rodzinę.

Magdalena nawiązała kontakt mailowy z rodziną Waldka Torna. Przesyłają sobie zdjęcia rodzinne, utrzymują relację. – W końcu – pisze w mailu – w jakimś sensie jesteśmy przecież rodziną.

## **Gdy odchodzą świadkowie**

Gidi Poraz zabiega o to, aby instytut Yad Vashem zorganizował wkrótce ceremonię przekazania medalu bliskim Zofii i Stanisława. Do Jerozolimy na zaproszenie rodziny Tornów przyjedzie 89-letnia Barbara (matka Magdaleny) z dwiema wnuczkami. Dla obu rodzin to wielkie wydarzenie.

Pytanie, ile takich spotkań nie dojdzie do skutku wobec upływającego czasu, umierających świadków czy przypadków, które nie zechcą się wydarzyć, by odpowiednie dokumenty mogły trafić do Yad Vashem.

Bez wątpliwości ekipa Ireny Steinfeldt wykonuje wielką pracę, aby zachować pamięć o Sprawiedliwych. Jednak wszystko jest kwestią priorytetów: Yad Vashem, finansowany z pieniędzy rządowych i donacji, jest dziś zaangażowany w wiele projektów na rzecz zachowania pamięci o Holokauście (np. budowanie bazy danych o ofiarach). Może więc pamięć o zmarłych jest ważniejsza niż pamięć o ratujących? Bez wątpienia Izrael może zrobić więcej, aby tej pamięci pomóc. To ostatni dzwonek.

Irena Steinfeldt: – Zdaję sobie sprawę, że Sprawiedliwych jest znacznie więcej. Nie mam pojęcia, ilu. Potrzeba nam czasu, zgłoszeń, badań. A jednak z roku na rok tracimy ostatnich świadków i ocalałych. Dlatego dotarcie do nich i ich świadectw jest dla nas priorytetem. Robimy, co możemy. ©

---

#### AUTOR ARTYKUŁU

---



#### **KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET**

Dziennikarka, korespondentka Tygodnika Powszechnego z Izraela. Interesuje się dialogiem polsko- i chrześcijańsko-żydowskim, historią Żydów aszkenazyjskich i współczesnymi obliczami Izraela...